

Nareszcie mamy zacząć pożytecznej dyskusji na temat podejmowanych u nas badań naukowych w dziedzinie zootechniki

Henryk Jasiorowski

Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie

Z ogromną satysfakcją i zadowoleniem przyjąłem niespotykany obecnie w naszym naukowym środowisku głos w dyskusji, dotyczący celowości niektórych prowadzonych u nas badań naukowych w dziedzinie zootechniki, opublikowany w „Przeglądzie Hodowlanym” nr 4 z 2014 r. („Co nowego wnoszą badania realizowane w ramach projektu *Optymalizacja produkcji wołowiny w Polsce, zgodnie ze strategią „od widelca do zagrody”?*”).

Autorzy tej publikacji, profesorowie Zygmunt Litwińczuk i Tadeusz Szulc – obaj o dużym autorytecie w środowisku naukowym oraz wśród producentów, ośmielili się poddać publicznie w wątpliwość celowość wydatkowania sumy 40 milionów złotych na prowadzone pod auspicjami Zrzeszenia Producentów Bydła Mięsnego (w kooperacji z wybranymi katedrami SGGW i UWM) badania mające na celu poprawę jakości produkowanej w kraju wołowiny, gdyż nie mogą one wnieść wiele nowego do naszej dotychczasowej wiedzy na ten temat. Artykuł wywołał duże ożywienie w środowisku zootechników, zarówno pracowników nauki, jak i praktyków, choćby z racji, że było to zjawisko od lat u nas niespotykane i już prawie zapomnieliśmy, że poddawanie w wątpliwość głoszonych prawd, polemiki i spory w środowisku naukowym zawsze dobrze służyły postępowi. Reakcja kierownictwa krytykowanego programu badawczego była natychmiastowa i gwałtowna, łącznie z niespotykanym w tego typu dyskusjach groźbami sądem. No cóż, można się dziwić takiej reakcji Autorów na krytykę ich programów badawczych, choć powinni wiedzieć, że w kularach krajowego środowiska naukowego wcześniej już wrzało od krytycznych uwag na ten temat, choć nikt – zdawało się – nie chciał ryzykować otwartym wystąpieniem. Przede wszystkim suma przeznaczonych na te badania pieniędzy wywołała wśród specjalistów zdziwienie, bo była prawie równa wartości całego czystorasowego pogłowia bydła ras mięsnych w kraju, a temat i zakres badań oraz ich cel, mimo przystrojenia ich nośnymi hasłami, zdawały się od początku nie rokować nadziei na nowe odkrycia, które miałyby znaczenie dla powiększenia naszej wiedzy na ten temat. Trzeba wyznać szczerze, że sceptycyzm powiększała opinia, że główni inicjatorzy badań (z ZPBM) nie należeli ani do specjalistów w dziedzinie hodowli, ani mięsoznawstwa. Znając jednak panującą w kraju atmosferę, spowodowaną brakiem środków na badania i pogonią za grantami, nikt się nie dziwił, że obiecując dostęp do tak okazałych środków inicjatorzy badań uzyskali patronat dwu czołowych uczelni rolniczych w kraju oraz współpracę grupy przeważnie młodych pracowników nauki. Przyznam, że podzielałem te opinie, ale już przestałem się dziwić, czemu w takich sytuacjach nie wybuchają teraz u nas spontanicznie gwałtowne i otwarte dyskusje. I stąd ogromne zaskoczenie, ale i satysfakcja z inicjatywy moich Kolegów profesorów Z. Litwińczuka i T. Szulca przełamania tego szkodliwego zwyczaju.

Przytoczona wyżej gwałtowna reakcja kierownictwa krytykowanego programu badawczego („Przegląd Hodowlany” nr 5/2014) na opublikowane wątpliwości co do celowości omawianych badań, niespotykana w środowiskach naukowych cywilizowanych krajów, rozjątrzyła tylko zainteresowane środowisko krajowe. Czekano jednak na zapowiedziane opublikowanie komunikatów o wstępnych wynikach badań. Pierwszy (o ile wiem) taki komunikat, z emblematami Innowacyjna Gospodarka oraz UE Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego wraz z zaznaczeniem, że jest to fragment programu *Optymalizacja produkcji wołowiny w Polsce, zgodnie ze strategią „od widelca do zagrody”*, ukazał się w popularnym czasopiśmie „Bydło” (nr 10/2014), autorstwa R. Winarski, Z. Nogalski i P. Łapińska z UWM w Olsztynie. Jak podano, przedmiotem badań były zdolności opasowe oraz wartość rzeźna mieszkańców (buhajków oraz wolców) pochodzących z krzyżowania towarowego mlecznych krów czarno-białych z buhajami różniących się znacznie między sobą ras mięsnych, tj. hereford i charolaise. Skoro problem produkcji dobrej jakości wołowiny jest ciągle u nas aktualny, a wyjątkowo kosztowne badania firmuje duża uczelnia, to należałoby się spodziewać, że w zapowiedzianych komunikatach o pierwszych wynikach znajdziemy godne uwagi nowe informacje. Przyznam, że głęboko się rozczarowałem i to było głównym impulsem do niniejszego wystąpienia. Przede wszystkim opisane badania były zaplanowane tak, że z góry było wiadomo, że nie mogą wnieść wiele nowego do naszej dotychczasowej wiedzy na ten temat. Takich prac przeprowadzono w świecie setki, a i u nas sporo. O tym, że buhajki rosną szybciej i mniej się otluszczają niż wolce wiadomo od dawna i dlatego w procesie opasania bydła – poza specjalnymi sytuacjami – powszechnie zaprzestano kastracji męskich osobników. A już w rewelację, że mieszańce hereford x PHF przyrastają lepiej niż charolaise x PHF żaden hodowca nie uwierzy. Nie wiem jak wyglądają wyniki dalszych prac omawianego programu, ale podanie wyżej opisanej pracy jako jego wizytówki źle wróży, i będę szczęśliwy jeżeli okaże się, że się myliłem. Przeglądając ostatnio fachową literaturę natrafiłem też na inny komunikat konsorcjum z omawianego programu *Optymalizacja produkcji wołowiny w Polsce, zgodnie ze strategią „od widelca do zagrody”*. W tym wypadku dotyczy on opisu importowanego za 300 tys. euro aparatu do automatycznego oznaczania jakości i składu tusz wołowych. Aparat rzeczywiście imponująco zwiększa szybkość oraz precyzję oceny składu i jakości tusz. Nie dziwię się zatem entuzjazmowi prezentujących go młodych pracowników nauki. Podzielałbym ten entuzjazm, gdyby nie ta cena, no i świadomość, że aparat skonstruowali i produkują Australijczycy dla szybkiej i obiektywnej oceny jakości tusz, w celu ich klasyfikacji i ustalenia za nie zapłaty (dotąd w większości krajów rozwiniętych robią to na poubojowej taśmie transportowej niezależni eksperci, ale u nas ciągle personel rzeźny). Warto dodać, że Australijczycy produkują 5 razy tyle wołowiny co my. Ponadto tam rzeźnie ubijają dziennie 1000 i więcej sztuk bydła, podczas gdy u nas to w większości małe zakłady. Nie dziwię się Australijczykom, że promują eksport tych aparatów, ale która z polskich rzeźni kupi i zainstaluje w przyszłości takie urządzenie, jeśli nie dostanie go w prezencie, np. z funduszy na badania? Jeśli jednak tak by się stało, to byłoby to Himalaje postępu w tym przemyśle, gdzie nadal funkcjonują w skupie współpracujący z nim pośrednicy, co pachnie średniowieczem i wywołuje stałe protesty hodowców. Dlaczego o tym się u nas nie mówi, milczą nawet aktywiści z „ProOptiBeef”? No i dlaczego nikt nie pomyślał, że ponadmilionowa dodatkowa inwestycja w stosunkowo małej rzeźni musi być rekompensowana albo wzrostem cen dla odbiorcy tusz, albo obniżeniem cen płaconych producentom żywca.

Zdaję sobie sprawę z tego, że używam w tym artykule sformułowań i określeń radykalnych, co jak dotąd w naszych dyskusjach na temat badań naukowych nie było spotykane. Czynię to w pełni świadomie, bo uznaję, że sprawa jest poważna, a obawiam się, że przykład badań wspomnianego konsorcjum jest tylko szczytem góry lodowej, któremu przyszło wychylić się z odmetów oceanu.

Uważam, że u podłoża problemu poziomu i kierunku badań stosowanych leży obecny system finansowania badań naukowych, który wywołuje niepożądane zjawiska. Mam tu na myśli badania stosowane służące rozwojowi gospodarki, w tym wypadku rolnictwa. To właśnie dzięki temu systemowi finansowania badań i kryteriom awansowania pracowników nauki zapanowała atmosfera zdobywania grantów za wszelką cenę i kultu punktów za publikacje w czasopiśmie zagranicznych. Pod nie dobiera się tematy i o nie idzie główna walka. Niestety pytania: czy badania te wniosą coś nowego lub czy potrzebne są naszej praktyce – nikt zdaje się już nie zadawać. Przekonano się bowiem, że o sukcesie w ubieganiu się o granty decyduje użycie modnych, choć niewiele znaczących w tym kontekście haseł, w rodzaju: trwały (zrównoważony) rozwój, innowacyjność, ochrona środowiska, oraz nawiązywanie do tematyki w krajach rozwiniętych (to ostatnie najczęściej oznacza potwierdzanie uzyskanych tam już wcześniej wyników). W rezultacie nikt o zdrowych zmysłach i samozachowawczym instynkcie, ubiegając się dziś o grant nie użyje argu-

mentu, że jego wyniki będą przydatne naszej praktyce, bo sądzi, że taki argument mógłby tylko osłabić szanse uzyskania pozytywnej decyzji. Zaplanowała przy tym, szczególnie na uczelniach, atmosfera: jest grant będą badania, nie ma grantu nie będzie badań. Wiem, że to są poważne zarzuty, ale skoro w kularach powszechnie się o nich mówi, to uważam, że trzeba na ten temat rozpocząć otwartą dyskusję. Mnie zapewne, że zrozumiałych względów, o to łatwiej niż moim młodszym Kolegom. Żeby jednak nie być posądzonym o mentorstwo stwierdzam, iż zdaję sobie sprawę z tego, że gdybym dziś był w Ich wieku i pracował w obecnych warunkach to zapewne też bym się ubiegał o granty, przystrajal je modnymi hasłami i cieszył się z możliwości współpracy z tymi, którzy dysponują środkami. Nie do nich więc skierowana jest zawarta w tym artykule krytyka istniejącej sytuacji w doborze tematyki badawczej w zootechnice.

Jedną z głównych przyczyn obecnego stanu zootechnicznej, a chyba także i rolniczej tematyki badawczej jest to, że nasze środowisko nie tylko odwykło od krytyki podejmowanych programów badawczych, ale unika też dyskusji nad tym, co w naszym kraju i w naszych warunkach szczególnie zasługuje na badania. Od wielu lat nie natknąłem się na sympozjum, artykuł, a nawet wypowiedź na temat, co w naszej dziedzinie warto i należy w kraju badać tak ze względów czysto poznawczych, jak i potrzeb praktyki. A o dyskusjach, sporach, a nawet kłótniach na te tematy, nie mówią już o krytyce wyników niektórych prac badawczych od dawna nie ma u nas mowy. Natomiast panuje opinia (szczególnie wśród weteranów środowiska naukowego, które odważa się o tym głośno mówić), że nie uzyskuje się u nas grantu na badania bez użycia w uzasadnieniu, a jeszcze lepiej w tytule, modnych dziś, wymienianych już haseł, jak: zrównoważony rozwój, ochrona środowiska, innowacyjność itp. Choć zasadności tych haseł nikt nie może kwestionować, to jednak niebezpiecznie stały się one u nas często „hasłami wytrychami”. Przykładem na silenie się w przedstawianych programach badawczych na modne hasła może być program aktualnego sporu *Optymalizacja produkcji wołowiny w Polsce, zgodnie ze strategią „od widelca do zagrody”*. Hasło dla decydentów przyznających granty było widocznie nośne, bo – jak wiadomo – konsument jest ważny. Rzecz w tym jednak, że o tym wszyscy wiedzą, włączając polskich hodowców bydła, jak i organizatorów przemysłu mięsnego. Będąc przedmiotem sporu badawczy za 40 mln zł koncentruje uwagę na poprawie jakości produkowanej wołowiny i nikt nie może twierdzić, że nie jest to ważne. Ale każdy przecież wie, że Polacy konsumują najmniej wołowiny na głowę mieszkańca w Europie nie dlatego, że jest ona zła, ale dlatego, że jest dla nich zbyt droga. Prześtańmy zatem szermować hasłem o złej jakości polskiej wołowiny (pod tym względem zajmujemy się raczej polskimi wędlinami), jest ona bowiem taka jak w innych krajach naszego regionu, czego dowodem jest, że na eksport idzie jak przysłowiowa woda. Zatem głównym problemem jest nie jakość produkowanej u nas wołowiny (choć oczywiście stale trzeba dbać o podnoszenie jej jakości), ale jej ilość, przy czym główną rolę odgrywa tu spadek pogłowia bydła w naszym kraju, w którego rezultacie mamy obecnie jeden z najniższych wskaźników ilości bydła na 100 ha użytków rolnych w Europie. I to jest głównym problemem naszej gospodarki narodowej w tej dziedzinie. Wydaje się zatem oczywiste, że na takich problemach winny skupić się wysiłki badawcze naszych naukowców i to nie tylko przedstawicieli nauk zootechnicznych i weterynaryjnych, ale także, a może przede wszystkim – ekonomicznych. Ośmielam się nawet być bardziej precyzyjnym. Osobiście uważam, że decydującą rolę w walce o wzrost produkcji wołowiny w kraju może odegrać włączenie w cykl produkcyjny żywca wołowego drobnych gospodarstw. I takie właśnie systemy produkcji, łącznie z problemem jakości produkowanej wołowiny, winny być w tej dziedzinie przedmiotem wysiłków naszego dość rozbudowanego zaplecza naukowo-badawczego. Inny przykład: wielokrotnie apelowałem, aby nasze środowisko podjęło kolektywnie temat długowieczności coraz bardziej wydajnych naszych krów mlecznych (coraz krótszy okres ich użytkowania jest bodaj największym problemem tej gałęzi produkcji zwierzęcej); odpowiedź Kolegów była – masz rację.

Ale kto ma o takie tematy walczyć i da na nie środki? Dziś bowiem prawie każdy występując o grant bierze przede wszystkim pod uwagę szanse na jego otrzymanie i odpowiednio doбира temat oraz formułuje jego tytuł. Nie słyszałem natomiast o przypad-

ku, aby ktoś występując o grant uzasadniał to przydatnością wyników dla praktyki. Powyższa sytuacja dotyczy też wyboru tematyki prac magisterskich i doktorskich, których poziom, według ogólnej opinii, uległ ostatnio znacznemu obniżeniu. Gorzej, pojawiają się w naszych uznanych czasopismach naukowych prace autorstwa profesorów zwyczajnych wykonywane w ramach grantów NCBiR, jak np. „Zależności między masami ciała krów matek rasy polskiej czerwonej i odchowywanego przez nie potomstwa” (*„Roczniki Naukowe Zootechniki”*, 2014, T. 41, z. 1). Jest to chyba przykład, jak bezkrytyczne staje się nasze środowisko w doborze tematyki badawczej, a redakcje czasopism naukowych w ocenie celowości drukowania ich wyników. Przecież odpowiedź na postawione pytanie jest znana każdemu, nie tylko hodowcom. Mimo że prawdopodobnie jest to fragment większej pracy, to nic nie usprawiedliwia publikowania tych obserwacji, tym bardziej, że obserwowana powszechnie pogoda za ilością publikacji nie mogła w tym wypadku wchodzić w grę. Przykład ten podaję z dużymi oporami, dotyczy on bowiem m.in. moich bliskich przyjaciół, ale skoro pozwałam sobie na krytyczne uwagi pod adresem moich młodszych kolegów, to przemilczanie uwag dotyczących moich przyjaciół należało by uznać za nielojalność w stosunku do całego naszego środowiska. No i przypominam, celem tego artykułu jest wywołanie dyskusji na temat prowadzonych u nas prac badawczych w zootechnice, a szczypta prowokacji może tylko temu pomóc. Wydawało by się, że ostatnie decyzje NCBiR zapraszania do decydowania o finansowaniu wybranych kierunków i tematyki badań przedstawicieli przemysłu poprawią sytuację, uwzględniając rzeczywiste krajowe potrzeby. Rzecz jednak w tym, że w wypadku produkcji rolniczej przemysł jest najczęściej stroną dostarczającą, zarówno ten dostarczający środki produkcji, jak i przetwórczy. Stanowczo brakuje tu głosu producentów rolnych.

Kończąc pragnę przy tej okazji poruszyć jeszcze jeden problem związany z doбором i finansowaniem tematów badawczych w dziedzinie nauk stosowanych. Otóż wraz z nowym systemem finansowania badań i pojawieniem się możliwości wykorzystywania dla tych celów także funduszy Unii Europejskiej zjawili się w naszym środowisku tzw. deweloperzy. *Developer* to znany termin w USA, oznacza człowieka posiadającego kapitał i poszukującego intratnego sposobu jego wykorzystania. Są to zwykle ludzie bardzo przedsiębiorczy i inteligentni, a ich obiektami zainteresowania są często badania naukowe, których wyniki mogą otwierać nowe możliwości w zakresie technologii produkcji, a tym samym nowe możliwości intratnego inwestowania. Głównym motywem działalności deweloperów jest zysk i tego w krajach wolnego rynku nikt zwykle nie ukrywa. W warunkach krajów rozwiniętego i cywilizowanego kapitalizmu jest to grupa nader pożyteczna. Nie mogę oprzeć się jednak wrażeniu, że w naszym środowisku naukowym zaczynają się pojawiać ludzie w podobnym do deweloperów charakterze, tylko że nie dysponują własnym kapitałem, ale starają się być pomocni w zdobywaniu środków finansowych z różnych źródeł (u nas państwowych lub unijnych). Czasami nazywa się niektórych z nich organizatorami nauki. W naszych warunkach pożyteczność tych ludzi zależy głównie od dojrzałości środowiska, w jakim działają. W warunkach naszego systemu finansowania badań i dostępności na te cele funduszy z innych źródeł, np. z UE, powinniśmy dobrze sobie zdawać sprawę z korzyści, ale i zagrożeń, jakie niesie to nowe zjawisko dla naszych programów badawczych.

W uzupełnieniu zawartych wyżej uwag na temat skutków obecnego systemu finansowania badań stosowanych (na przykładzie zootechniki) nadmieniam, iż znam dokument ATF „Research and innovations for a sustainable livestock sector in Europe” oraz listę zatwierdzonych ostatnio przez NCBiR grantów z programu Biostrategii, a także zawarte tam postulaty współpracy nauki z przemysłem. Oba dokumenty mogą budzić tylko szacunek i nadzieję. Rzecz jednak w tym, żeby nie okazało się w praktyce, że łudząc się, iż młócimy dorodne zboże w rezultacie otrzymujemy niewspółmiernie dużo plew. Takim zjawiskiem może moim zdaniem zapobiec udział w decydowaniu o wyborze i finansowaniu głównych problemów badawczych organizacji producentów rolnych. Należy też zachęcać całe zainteresowane produkcją rolną środowisko, w tym pracowników nauki, do szerokich dyskusji nad tym, co jest u nas w tej dziedzinie wąskim gardłem i co głównie należy badać. Tego, jak zdaje się już dowodzić obecna sytuacja, przyjmowanie ogólnych haseł nawet z UE nie zastąpi.